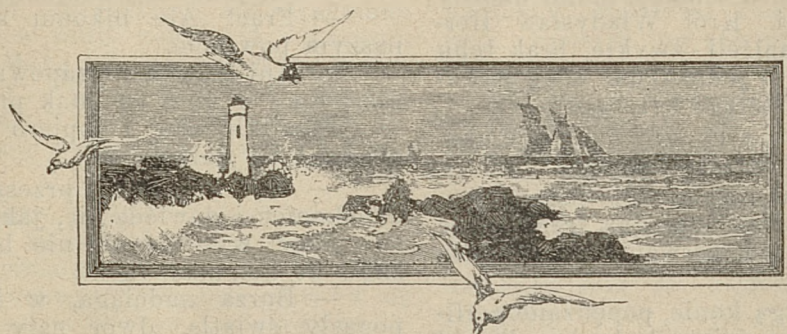


WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci

Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.

ZY-



CIE.

Nad tonią mórz,
Zwiastunka burz
Krzykliwa krąży mewa; —
Gdzie wonny sad,
Wiosence rad
Słowiczek cudnie śpiewa.

Na stokach gór,
Jak pereł sznur,
Szarotki kwiat się bieli —
Wśród cichych wód,
Lilija — cud! —
Na chłodnej śpi pościeli.

W poranny czas,
Gdzie gaj, gdzie las,
Ptaszące brzmia kapele; —
Gdzie mrok, gdzie cień,
Tam cały dzień
Pajaczek przędę ściele.

Na lipy kwiat
Pszczół skrzętny świat
Po wonne dąży miody; —
I ślepy kret
Pod ziemią, het!
Misterne ryje chody.

W mrówiska tum
Drobniutki tłum
Scieżynek rzuca sieci. —
A domu próg
Kładzie sam Bóg
Pod drobne stopy dzieci!

Jak zgodny chór,
Gra wszystkich twór,
Dziękczynne Mu hejnały —
I świadkiem człek
Po wieków wiek,
Jak życia cud wspaniały!

T. Prażmowska.



PSIE POLE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA DLA MŁODZIEŻY

przez

Włodzimierza Trąpczyńskiego.

(Dalszy ciąg).

Królewicz Bolko byłby rad przebyć dłużej w Mogilnie, wiedział bowiem, że stąd łatwiej i prędzej cofnąłby się mógł do Kruszwicy, nie było jednakże rady, wola Sieciecha, popartego przez Judytę, musiała być szanowana. Postanowił przeto dobrze zakarbować sobie w pamięci i gościniec i okolicę całą, ażeby nie zbłądził, gdy będzie ją musiał przebywać z powrotem.

Po pokrzepieniu i odpoczynku znów orszak posuwać się zaczął dalej, a dziwnie parno i duszno zrobiło się na świecie. Z gęsto rozlanych jezior unosiły się opary, słońce skryło się za chmury i nawet listek nie poruszył się na drzewie, a tumany kurzu unosiły się za jeźdźcami i wozami. Król Władysław Herman czuł się słabszym, aniżeli zwykle, brak temu męczył monarchę, pomimo to jednak dał sobą powodować i jechał niedołężny starzec bez oporu.

Ulgę wielką poczuli wszyscy, gdy nareszcie ukazały się wieżycy kościoła trzemeszeńskiego.

— Pośpieszać — wydał rozkaz wojewoda — burza niechybnie przeciągać będzie groźna, trzeba więc podążać szybko, ażeby przed zerwaniem się wiatru dosięgnąć miasta.

I zmęczone daleką drogą konie, popędzane gorliwie, wyteęzały resztki sił i przyspieszały kroku. Wśród bicia w dzwony, okrzyków zebranego na wstępie do miasta tłumu wjechał też orszak monarszy do tego miasta, w którym spoczęły na wieki w podziemiach kościelnych zwłoki świątobliwej rodzicielki Piastów.

W Trzemesznie mniej wygod, aniżeli w Kruszwicy znalazł dwór, ale w każdym razie rozmieszczono się po domostwach rozmaitych, a zresztą był to przecież tylko popas krótki, nazajutrz bowiem rano podjąć miano dalszą podróż do Gniezna.

Szczęście sprzyjało królewiczowi Bolkowi, ze względu bowiem na szczupłość mieszkania u księży, gdzie komnaty przygotowano tylko dla pary królewskiej, wojewoda Sieciech zmuszony był obrać siedzibę w przyległym budynku, a królewiczowi dostał się skromny domek, położony w miejscu zacisznym, otoczony stajniami i dziedzińcem, gdzie pomieszczono zaprzęgi i powozy.

Burza nie nadchodziła, upał trwał wciąż straszliwy i nawet o zmroku nie ochłodziło powietrze, stąd też wszyscy byli zmęczeni, ośowiali, nawet wojewoda, zawsze rzeźki i silny, tym razem nakłaniał do wczesnego udania się na spoczynek. Królewicz nie mógł doczekać tej chwili, odetchnął też dopiero, gdy po wieczery pozwolono mu udać się do owego ustronnego domku.

Służbę przy Bolku pełnił od lat kilku chłopak młody, dorodny, niemalym obdarzony sprytem, a przywiązany do swojego pana, wierny i oddany mu sercem całym Frąc z Półwicy. W niejednej on już z królewiczem bywał przygodzie i nieraz wymykał się czy na łowy, czy na małą utarczkę, więc i teraz oczy zabłyśły mu tylko, gdy Bolko wpadłszy do komnaty i zastawszy tutaj oczekującego Frąca, zawołał od progu:

— Frąc! Jedziemy...

— Dobrze — odparł sługa. — Czy konie przygotować zaraz?

— Nie teraz, trochę później, niech wszyscy posną najpierw.

— Stanie się wola waszej miłości

Bolko chodzić zaczął po pokoju, to przybiegał do okna, patrząc czy światła się palą, to znów przystawał, nasłuchując, aż wreszcie zatrzymał się przed sługą:

— I nie pytasz się wcale, dokąd mamy pojechać.

— Tam, gdzie wasza miłość rozkaże — zaśmiał się Frąc — a choćby do piekła pojadę.

— Wierzę ci i ufam, wiedz jednakże, iż to tajemnica i że jazda nasza może ogromne tutaj we dworze narobić zmiany.

— A cóż mnie to obchodzi? Milczeć umiem jak grób, a gdy wasza miłość tego sobie życzy, to jazda i koniec.

— Jedziemy do Kruszwicy.

— Czy wasza miłość pozostawił tam coś ważnego?

— Pozostawiłem — smutnie odparł królewicz — wielką odszukać musimy zgubę!

— Znajdzie się, znajdzie się napewno.

— Frąc! Ale nikomu ani słówka i teraz i po naszym powrocie.

— Anisłówka — zapewnił sługa z mocą i podniósł rękę w górę na znak przysięgi.

Zamilkli obaj i dopiero po długiej chwili znów odezwał się Bolko:

— Czy burza nie przeszła bokiem? Zajrzyj na dziedziniec i dowiedz się, jaki wiatr wieje?

Frąc wyszedł, ale nie bawił długo, a wchodząc znów do komnaty rzekł:

— Burza nadciąga, w komnatach królewskich pogasły światła, dwór cały śpi, tylko u wojewody świeci się jeszcze.

— Nie możemy czekać dłużej, trzeba konie osiodłać po cichu i wyprowadzić, przemkniemy się pod murami, noc ciemna, nikt nas nie dojrzy.

Frąc nie łatwą miał sprawę z przygotowaniem koni, musiał też różnych używać forteli, zagadywać towarzyszków, wyciągać ich ze stajni, ale w końcu przewyciężył trudności i dobrze znane całemu dworowi cisawe stały w pogotowiu.

— Noc ciemna, że oko wykol — bąknął sługa, gdy cichutko wymknąwszy się z domu, królewicz z mieczykiem u pasa stanął przy wierzchowcach — i burza napewno schwyci nas w drodze, a najgorsza rzecz, iż drogi nie znam dobrze.

— Ale ja znam ją — odszepnął Bolko — a co do burzy, to drobnostka, jeżeli przed nią nie uciekniemy, to w lasach mniej ona w każdym razie będzie dokuczliwa.

— Mówią o licznych bandach łotrzyków, chowających się po borach — próbował jeszcze tłómaczyć Frąc.

— Widzę, że się boisz — gniewnie oburknął się królewicz — jeżeli też nie masz ochoty tłuc się po nocy, to powiedz otwarcie, sam pojadę.

— Ja miałbym się lękać, ja Frąc z Półwicy? — z zalem odezwał się wierny sługa — o panie, jakże możecie mnie tak krzywdzić. Jeżeli zwracałem na to wszystko uwagę waszej miłości, to przecież nie przez wzgląd na mnie, jeno dla waszego dobra.

— Nie marudź i nie traćmy czasu na próżno, wiem, co robię i na co się narażam, a jednak dziś w nocy w Kruszwicy być muszę. Czy słyszysz? Muszę.

— A jeśli konie nam padną? Zmęczone one bardzo daleką drogą dzisiejszą.

— Odpoczęły sobie — uspokoił obawy Frąca król-
lewicz — a z powrotem Wincz da nam lepsze rumaki.
Daleko jeszcze do północy? — dodał Bolko, wska-
kując już na siodło.

Frąc spojrział na niebo, ale nic z niego nie mo-
gąc wyczytać, bąknął tylko:

— Już chyba bardzo blisko.

— A więc ruszajmy! W imię Ojca i Syna.

— ...I Ducha świętego Amen — dokończył Frąc.

(d. c. n.)

B. Dyakowski.

NASZE ROŚLINY UPRAWNE.

(Dalszy ciąg).

Zarówno atoli w żarnach, jak i w stępach ziarno
uległo jedynie roztarciu lub rozbiciu, ale otrzymana
z nich mąka zawierała w sobie wszystkie ich części,
bez usunięcia żadnej. Mąka tak przyrządzona spotyka
się jeszcze i teraz tu i owdzie po wsiach, ma ona
smak znacznie gorszy, a przytem, co jeszcze ważniejsza,
znacznie gorzej się zachowuje, prędko i łatwo
ulega zepsuciu.

Dzieje się to dlatego, iż ziarno zbożowe zawiera
w sobie różne części, które należy koniecznie usu-
nąć, jeśli chcemy otrzymać smaczną i dobrą mąkę.
Usuwanie tych niepotrzebnych części odbywa się
w młynach, których przeznaczeniem jest nie tylko samo
zmienienie ziarna, ale i dokładne oczyszczenie
mąki.

Chcąc zrozumieć, co i dla czego należy usuwać
przy mieleniu, musimy zapoznać się z budową i skła-
dem ziarn zbożowych.

Każde ziarno zbożowe składa się z jądra, zajmu-
jącego największą jego część i utworzonego prawie
wyłącznie z mączki. Z boku tego jądra znajduje się
mały kielek czyli zarodek, który następnie, rozra-
stając się, rozwija się w całą roślinę. Mączyste ją-
dro stanowi zapas pokarmu dla młodziutkiego kielka
w okresie początkowego wzrastania, dopóki nie wy-
rośnie on nałęczycie i nie zacznie pobierać pokarmu
samodzielnie z otaczającej go ziemi i powietrza. Na
zewnątrz ziarno otoczone jest powłoką-łuską, która
ochrania zarodek oraz mączyste jądro.

Otóż jeżeli chcemy otrzymać dobrą mąkę, po-
winniśmy koniecznie usunąć zarodek i łuskę, pierwszy
z nich bowiem zawiera znaczny zapas tłuszczu, któ-
ry jełczejąc z czasem, psuje smak mąki, łuska zaś —
trudno strawny drzewnik, którego obecność nadaje
jej moc i twardość, ale mąkę czyni cięższą i mniej
odpowiednią, zwłaszcza dla żołądków nieprzyzwyczaj-
onych.

Młynarz więc musi nie tylko zemleć porządnie
ziarno, ale jednocześnie rozdzielić mlewo tak, aby
osobno znalazła się mąka a osobno otręby, zawiera-
jące roztartą łuskę i kielek. Im oddzielenie nastąpi
dokładniej, tem mąka będzie bielsza i delikatniejsza.

Ale czystość i dobroć mąki zależą nie tylko od
młynarza. Już dawno przysłowie powiada, że „mły-
narz taką daje mąkę, jakie mu dano zboże”, a i pra-

tkyka codzienna wskazuje, że je-
szcze przed zawiezieniem zboża do
młyna należy je koniecznie oczy-
ścić od różnych domieszek, jak
grudki ziemi, ziarenka piasku oraz
nasiona obcych roślin, które nie
tylko obniżają wartość mąki, ale
częstokroć bywają szkodliwe dla
zdrowia, nieraz nawet wprost tru-
jące. Powinien tego dokonać je-
szcze rolnik, przesiewając zebrane
zboże przez rozmaite młynki,
wiałnie, przetaki i t. p., aż dopó-
ki nie usunie możliwie dokładnie
tych obcych domieszek i zanie-
czyszczeń.

Do takich bardzo szkodliwych
domieszek należy sporysz. Jest to
grzybek pasorzytny, którego na-
sionka czyli tak zwane zarodniki
dostają się z wiatrem na żyto w
czasie kwitnienia i upadły na
jego słupek, zaczynają tam kieł-
kować, tocząc go i niszcząc. Osta-
tecznie słupek przepada i ginie,
a na jego miejscu z kłosa sterczy
podłużny, fioletowo-czarny spo-
rysz. Sporysz ten zawiera w so-
bie bardzo silną truciznę i jeżeli
go się nie oddzieli, lecz zmiele
razem z ziarnem zbożowym, to
otrzymana przytem mąka jest na-
dzwyczaj szkodliwa. Kiedy cza-
mi zdarzy się w jakiej okolicy
urodzaj na sporysz, to bywa, że
nieraz całe wsie chorują, w sku-
tek karmienia się zatrutą mąką.
Dawniej, kiedy zboże oczyszczano mniej dokładnie,
takie epidemie zdarzały się znacznie częściej. Obecnie
przy starannem oczyszczaniu, należą już do wypad-
ków wyjątkowych.

Trującą domieszkę stanowi również kąkol, ten
kąkol, o którym głosi przysłowie, że „Pan Bóg psze-
nicę sporzy, a dyabeł kąkol mnoży” i którego różowo-
fioletowe kwiaty wcale ładnie wyglądają w bukietach
polnym. Drobnutkie czarne jego nasionka nadają
mące ciemną barwę, nieprzyjemny smak i lekko tru-
jące własności. Dla swoich drobnych rozmiarów są
one nawet dość trudne do usunięcia przy oczyszczaniu,
na szczęście jednak domieszka kąkolu rzadko
bywa tak znaczna, aby mogła wywołać ujemne skut-
ki dla zdrowia.

Do szkodliwych domieszek należy również mie-
tlica, trawa dość pospolita w zbożu, zwłaszcza na li-
chych gruntach. Przodkowie nasi znali jedynie tyl-
ko te jej własności i wiedzieli, że gdy w zbożu du-
żo mietlicy, nie można liczyć na duży plon. Mawiali
też, że „jak w życie kostrzewa (również gatunek tra-
wy), to chleba co potrzeba, a jak w życie mietla
(mietlica), to tylko do świętego Pietra.” Z czasem
atoli przekonano się, iż wpływa ona źle na własności
mąki i czyni ją niezdrową, zwłaszcza gdy domieszka
jest w wielkiej ilości.

(d. c. n.)



Kłos żyta
ze sporyszem.

Uwaga. W Nr. 26 ym (str. 201, kol. 2-a, w. 11 od dołu)
wkrađła się omyłka, którą niniejszym prostujemy: Skrobica
czyli mączka znajduje się w stanie prawie zupełnie czystym
w krochmalu, oraz w najprzedniejszych i najlepszych gatun-
kach mąki, a nie „w najbrudniejszych i najlichszych”.

Jak wygląda bitwa.

Słusznie bardzo zaznacza znakomity nasz powieściopisarz Bolesław Prus w artykułach swoich o Japonii i Japończykach, że my na ogół nie mamy należytego wyobrażenia o tem, co to jest współczesna wojna, i jak w rzeczywistości wyglądają bitwy. Znamy je raczej ze stanowiska malarskiego i poetycznego, wysnutego najczęściej z opisów wojen dawniejszych, kiedy walczone z niewielkiej odległości na szable lub bagnety, w upojeniu i podnieceniu wobec ścierania się z doskonale widzialnym, znajdującym się blisko przeciwnikiem.

Huk armat, trzeszczenie kartaczów, szelest sztandarów, kłęby dymu, jęki rannych i konających, tryumfalne okrzyki zwycięzców — oto bitwa — w mniemaniu większości.

„W rzeczywistości jednak — pisze Prus — wojna składa się zupełnie z innych pierwiastków, zaś pole bitwy jest to miejsce, kędy spotykają się dwie armie, dwa olbrzymie smoki, z których każdy ma: korpus główny czyli środkowy, dwa skrzydła — prawe i lewe, nareszcie ogon, nazywający się rezerwą. Potwory te rozmawiają ze sobą piorunami armat i ulewą pocisków, a oto — co z ich rozmowy może pochwytać wprawne ucho:

A. Moje karabiny zabijają o 1,500 kroków.

B. Moje o 1,800. Twoje zatem szeregi przez dwie minuty dłużej znajdować się będą pod strzałami, aniżeli moje.

A. Ale moje karabiny wyrzucają sześć kul w tym czasie, kiedy twoje dają zaledwie dwie cztery.

B. Za to moi żołnierze na sto strzałów, dają pięć celnych, a tvoi zaledwie trzy na sto.

A. Ale moje oddziały stoją za zasłonami, które celność twoich pocisków zmniejszają do połowy. Zresztą moje wojsko nie cofa się nawet wówczas, gdy utraci czwartą część żołnierzy.

B. A moje,

straciwszy nawet trzecią część, jeszcze gotowe jest walczyć.

A. Każdy mój żołnierz jest silniejszy od twego, co uwydatni się przy ataku na bagnety.

B. Moi są bez porównania zręczniejsi od twoich i atakują gwałtowniej.

A. Ale twoje kolumny muszą przejść świeżo zaorane pola i będą miały słońce w oczy, podczas gdy moi oczekują ich na szczycie pagórków.

B. Twoi onegdaj przeszli kilkadziesiąt wiorst, spracowali się nad sypaniem okopów i od dwu dni nie jedli nic gorącego.

A. A między twoimi szerzy się tyfus i dżenterya. W dodatku mają niewygodne mundury i o pięć funtów więcej ciężaru do dźwigania, aniżeli moi.

B. Komu to mówić o niewygodnych ubraniach!... A cóż warte są twoje buty, w których 10% żołnierzy odparzyło sobie nogi?

A. Tak, ale ja mam trzydzieści tysięcy ludzi, a ty zaledwie dwadzieścia. Wiadomo ci zaś, że w rezultacie zawsze zwycięża liczba.

B. A to się złapał!... Za godzinę nadejdą mi posiłki i będę miał trzydzieści pięć tysięcy.

A. Bądź spokojny. Szpiegi doniosły mi o twoich posiłkach, które mój oddział pomocniczy zatrzyma przez pięć godzin w wąwozie.

B. Wiedziałem o twoim planie i dlatego moje posiłki wybrały inną drogę.

A. Winszuję!... Jest to droga dłuższa i gliniasta, którą zepsuły deszcze. Twoje więc posiłki nie nadciągną przed upływem siedmiu godzin. A tymczasem ja okrążam twoje prawe skrzydło i odcinam ci komunikację.

B. A ja wyprowadzam rezerwy i twój atakujący oddział rozbijam na łeb na szyję.

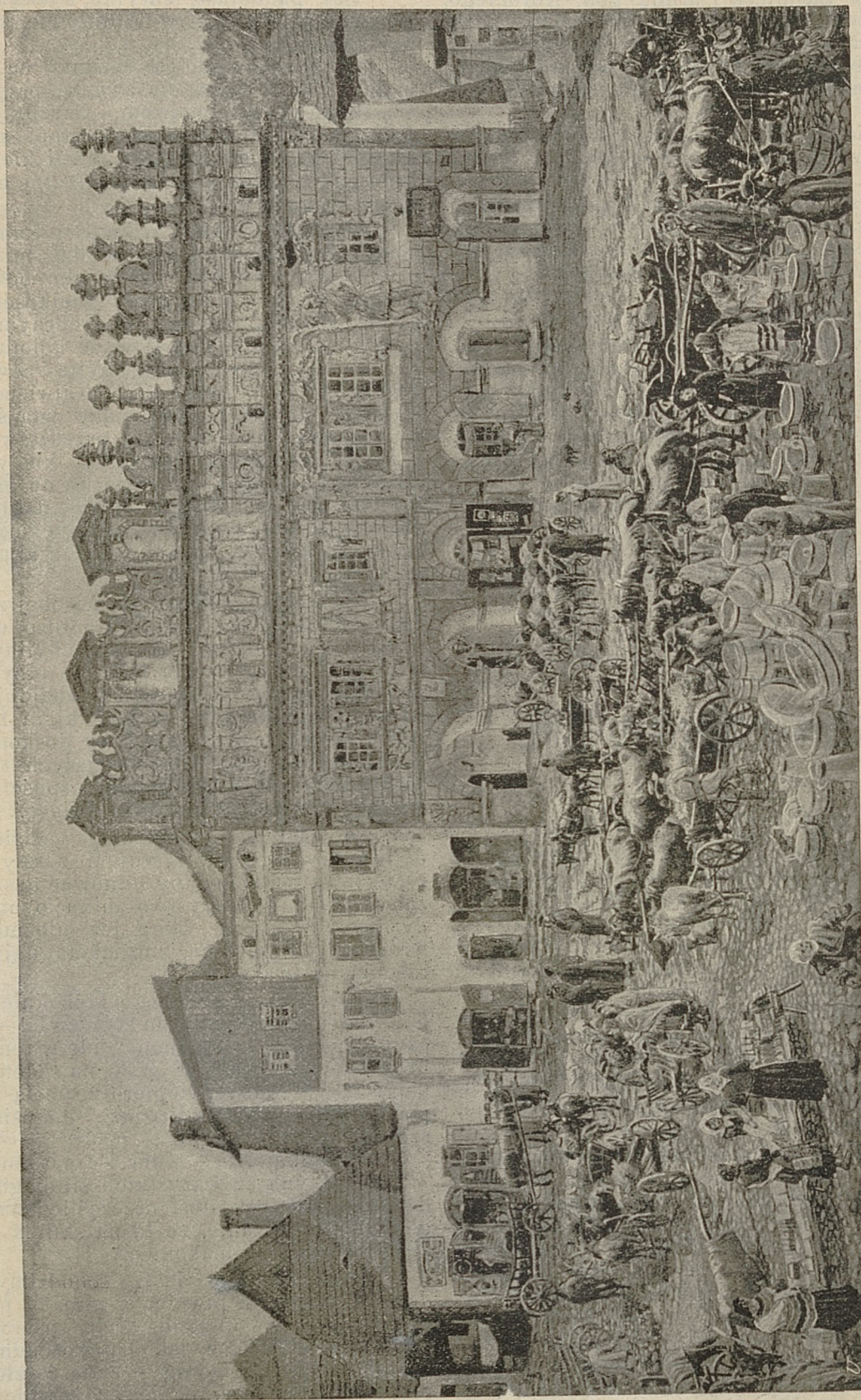
Takie to gwichoty padają na talerze wagi, nazywającej się polem bitwy; takie rozmowy słychać poza głosem armat, jękami rannych i okrzykami zwycięzców.”

W dzisiejszym numerze dajemy rycinę, przedstawiającą posuwanie się piechoty japońskiej, podczas jednej z najkrwawszych bitw obecnej wojny, bitwy pod Kinczau. Do dnia 27 czerwca w któ-



Jak wygląda bitwa.

Z wycieczek po kraju.



Stanisław Masłowski.

Rynek w Kazimierzu dolnym nad Wisłą.

rym piszemy te słowa — trzy były właściwie wielkie bitwy lądowe, a w nich Japończycy posiadali przewagę liczebną wojska i artylerii, gdyż główne siły generała Kuropatkina stały pod Laojanem. Była to bitwa pod Kiurenczenem nad rzeką Jalu, między oddziałem generała Zasulicza i armią gen. Kurokiego, bitwa pod Kinczou, na wąskim przesmyku prowadzącym do półwyspu Kwantuńskiego, (po tej bitwie rozpoczęło się oblężenie Portu-Artura) — wreszcie bitwy pod Wafangau między oddziałem gen. Stackelberga i gen. Oku.

Obecnie obie wielkie armie stoją naprzeciw sobie ogromnie wydłużonym frontem, którego środek stanowi Hajcen.

Na morzu cała eskadra japońska zajęta jest blokadą Portu-Artura; korzystając z tego trzy szybkie krążowniki rosyjskie, stojące we Władywostoku pod dowództwem admirała Skrydłowa, popłynęły do zatoki koreańskiej i zatopili trzy statki transportowe japońskie, przyczem zginęło parę tysięcy ludzi.

Obie armie walczą z ogromną walecznością i wzajem przyznają sobie prawdziwe męstwo, co stwierdzają uroczystymi pogrzebami wybitniejszych poległych obu stron. Po śmierci admirała Makarowa urządzono w Tokio obchód na cześć zmarłego, a zwłoki jednego z marynarzy japońskich, kapitana statku Ilrozi'ego doznały podwójnego pogrzebu w Porcie-Artura i w Tokio, gdyż ciało jego w czasie jednej z bitw morskich, uległo rozdarciu na dwie części — z których jedna została na torpedowcu japońskim, drugą wydobyli z morza Rosjanie i także z należnemi honorami pogrzebali.



Z wycieczek wakacyjnych po kraju.

(Dalszy ciąg).

Nie śmiej się ze mnie, Marylko, gdy ci powiem, że Kazimierz zrobił na mnie wrażenie, jak gdybym ujrzała Kraków w miniaturze. Takie same starożytne, dawnej struktury domy, jakie widzi się w Krakowie, a które stylem swoim przywodzą na pamięć Sukienice, jest nawet tutaj w rynku dom, jakiego w Krakowie nie zobaczysz: cały pokryty wypukło-rzeźbami rozmaitych kształtów i wielkości, Najświętsza Panna, św. Antoni, św. Mikołaj, jakiś rycerz prawie naturalnej wielkości, w zbroi, któremu miejscowi dają miano olbrzyma; obok tych postaci świętych, biskupów i rycerzy, zwierzęta niezbyt kształtne, zwrócone łbami do siebie.

Pytamy: do kogo ten dom należy? Odpowiadają nam, że jest to własność kupca izraelity. Tak samo dwa inne domy dosyć już zrujnowane, okryte rzeźbami. W jednym z tych domów jest skład śledezi i nafty, jak to opiewa napis krzywy i niekształtny. — Ach! moja Marylko, po raz pierwszy w życiu zapragnęłam być bardzo bogatą, nabywałam wszędzie podobne pamiątki przeszłości, aby je od zagłady ostatecznej ratować, założyłabym jakieś stowarzyszenie archeologiczne, jakąś wspólkę ludzi wykształconych a dobrej woli, którzyby czuwali, iżby ta, co jeszcze od zagłady czasu ocalone zostało, lub istnieje jako szacowna pamiątka, nie było opuszczone tak marnie. Więc zrobiło mi się smutno, bardzo smutno...

Weszliśmy do kościoła, aby jego wnętrze obejrzeć. Właśnie trafiliśmy na nieszpory, chociaż w dzień powszedni, ale był to dzień św. Mikołaja, patrona

miejscowego. Kościół ładny i starożytny, prześliczny chór rzeźbiony i ambona, stale zaś wykładane mozaiką z kolorowego drzewa. Oglądając rysunek tej mozaiki, mający przedstawiać kwiaty, uderzona zostałaś jednym szczegółem.

Czy pamiętasz, Marylko, z jaką ciekawością oglądałyśmy w Muzeum w Warszawie meble w stylu zakopiańskim?

Otóż oglądając te rysunki na stalach, przypominały mi się tamte na owych sprzętach, uderzające wspólnym podobieństwem. Czyżby wśród ludu dochowały się motywy starożytnej sztuki, zdołające niegdyś nasze świątynie? Jeżeli kiedy w życiu spotkam się z jakim sławnym naszym artystą-malarzem, zapytam go o to.

Po lewej stronie, w kaplicy Panny Maryi, wzniesiony jest ołtarz, który wydał mi się niezmiernie oryginalny, znajdując się w nim bowiem posągi rzeźbione, prawie naturalnej wielkości świętych Pańskich, również rycerza w srebrnym kasku, z ogromnym mieczem, pomalowane kolorami; przypominały mi się znów rzeźby Wita Stwosza w kościele Panny Maryi w Krakowie. Najwięcej jednakże zaciekał mnie obraz, zajmujący całą ścianę kaplicy po prawej stronie od wejścia, przedstawiający zdarzenie z życia Kazimierza Wielkiego, kiedy proszony przez wieśniaka, podawał mu dziecko do chrztu; figury na tym obrazie są również prawie naturalnej wielkości, różnorodność zaś ubiorów znajdujących się tutaj osób, może dostarczyć artyście materiału do studyów dawnej epoki.

Następnie udaliśmy się na obejrzenie kościoła po reformackiego. Kościółek to bardzo ubogi, jak wogóle tych zakonników, i długo nie byłibymy tutaj zabawili, gdyby nagle cioci Mili nie przyszła myśl, aby zwiedzić groby zakonników, znajdujące się pod kościołem; zapewniała, że gdy kilka lat temu zwiedzała te podziemia, ciała były doskonale zachowane. Kościelny nie czynił najmniejszych trudności z wprowadzeniem nas w podziemia i spuścił się jako przewodnik, trzymając zapaloną świecę.

Ze względu na Janusię rozdzieliliśmy się na dwie połowy: ciocie z wujem zeszły pierwsze, a ja z ciocią L. zostałam, aby pilnować naszego boba. Atoli zaledwie całe towarzystwo zniknęło na schodach, kiedy ciocia Wańdzia, która jest niezmiernie nerwową, wróciła z pośpiechem, z oznakami największego przeżenienia na twarzy.

— Nie chcę, nie chcę widzieć nic więcej! — wołała. — Dość mam tego, com zobaczyła! — Chciała wyskoczyć copędzej z podziemia, ale w tem trudność, gdyż brak dwóch schodów od góry, na żaden więc sposób nie mogła się wydobyć, dopiero z ciocią L. wzięłyśmy ją pod ramiona, aby wyciągnąć. Janusia zaś widząc nasze wysiłki:

— Czekajcie! — woła — ja wam pomogę.

I zaczynając ze wszystkich sił ciągnąć ciocię Wańdzia za pelerynę. Jest uszczęśliwiona, gdyż ma najgłębsze przekonanie, że to na skutek jej pomocy ciocia wydoszła się na koniec.

Teraz my z ciocią L. schodzimy w podziemia. Jest to niewielka piwnica z niszami po jednej i drugiej stronie. W niszach tych spoczywają ciała zakonników, a chociaż, jak nas kościelny objaśniał — nie wiem czy dokładnie — ciała te złożono przed stu pięćdziesięciu laty, ponieważ piwnica wykuta w wapieniu, więc brak wilgoci sprawił to zapewne, że jakkolwiek ciała są już zniszczone, przechowały się szczątki odzienia, a co dziwniejsza, twarze, wyschnięte, zasuszone, zachowały wyraz, jaki miały za życia, więc na jednej łagodność, rezygnacja, na innej zaś ból jakiś okropny, spowodowany zapewne ciężkimi

cierpieniami ostatniej choroby. Był to przejmujący widok, umarli, leżący szeregiem jeden obok drugiego, każdy mający kamień lub cegłę pod głowę, bo ówczesna reguła klasztoru zabraniała podobno chować zakonników w trumnach.

Wyszliśmy z podziemi w uroczystym nastroju — drugi raz jużbym nie chciała mieć podobnego widoku przed oczami... Opuściliśmy klasztor w milczeniu, nie mając jakoś ochoty do rozmowy i wróciliśmy na rynek, kiedy nagle Janusia przerwała nam myśli zupełnie niespodziewanym wykrzyknikiem: — O! mamusi, garnuszki, widzisz! — Stała tam przekupka z rozłożonym towarem, a nasze drogie bobo ujrzawszy garnuszki i dwojaczki, nie posiadało się z chęci nabycia jednego z nich. Ciocia L. kupiła jej gliniane dwojaczki za dwie kopiejki, a nasza maluchna gospośki kiwając główką, wyrzekła poważnie:

— Ugotuję wam obiad.

(d. c. n.)



(Dalszy ciąg).



zy był chory?

— Nie, ale był zrozpaczony.

— Czemu? Czy co złego popełnił?

Brinker zrobił ruch rękami, którego znaczenia żona nie zrozumiała.

Hm! kto to wie?

— Ach! Rafale, czyżby to była jaka zbrodnia, zabójstwo? Ach! jak ty drżysz!

— Jeżeli drzę, to jedynie z osłabienia. Wiesz chyba, że ja nie mam żadnej zbrodni na sumieniu.

— Boże wielkiego miłosierdzia! — zawołała składając ręce. — A któżby ciębie mógł o to posądzić? Ale napij się wina.

Chory posłuchał i potem mówił dalej:

— Byłem nad kanałem. Stanął nagle przede mną ten chłopiec. Pora była wieczorna. Przez całe życie nie widziałem twarzy równie bladej i zmienionej. Zapytywał mnie, czy nie przewiozłbym go łódką o kilka kilometrów dalej. Odpowiedziałem mu, że nie jestem przewoźnikiem. — Umieć wiosłować — rzekł — ale nie wrócę tu już, więc trzeba aby ktoś łódkę na miejsce odprowadził. Przewieź mnie, nikomu tem krzywdy nie wyrządzisz. Wydajesz mi się uczciwym człowiekiem, poratuj mnie. Tu chodzi o śmierć lub życie.

Pani Brinkerowa jęknęła.

— I cóż dalej? — spytała.

— Ten chłopak nie kłamał, byłem tego pewny. Oczy miał podobne do oczów naszego Janka. Wyglądał na lat ośmnaście. Przewiozłem go dokąd chciał; milczał przez całą drogę, dopiero wysiadając, powiedział mi te słowa:

— Bóg świadkiem, nie jestem zbrodniarzem, a jednak przeze mnie człowiek umarł. Muszę uciekać...

— Cóż on zrobił, Rafale, coż on zrobił?

— Nie wiem, nie śmiałem pytać biedaka. Żegnając się ze mną, wręczył mi ten zegarek i rzekł: Jeszcze o jedną przysługę błagam cię, oddaj ten zegarek memu ojcu, nie dzisiaj ale za tydzień. Powiedz mu, że wręczył ci ten przedmiot jego syn, jego syn najnieszczęśliwszy. Powiedz mu, że jeśli zechce jeszcze kiedy mnie zobaczyć, niech napisze do...

Ale ja teraz nie pamiętam ani adresu ani nazwiska jego ojca. W nocy wezwano mnie na tamy, w tej nocy strasznej... i nie mogłem już odnieść zegarka, bo o wszystkim zapomniałem.

— Dziwne to, dziwne zdarzenie — kiwała głową pani Brinkerowa.

Przez chwilę milczeli.

— Gdzie jest Hania — zapytał po chwili.

— Jest pewno na kanale; zawołam ją.

— A może wyszedłbym na próg domu — odezwał się ciężko wstając z łóżka.

— Patrzcie go, jaki zwawyl! — śmiała się żona. — Jeszcze za wczesnie, mój drogi; jutro, pojutrze dojdiesz do progu.

Zawołała Hanię i dorzuciła torfu do ogniska.

— Nie możesz przypomnieć sobie nazwiska tego chłopca? — spytała.

— Nie — odparł po chwili namysłu.

— Na zegarku są litery: L. I. B. Może należał do Lamberta Boomhoftena? Nie wiem, co znaczy ta trzecia litera I. Może miał drugie imię. Boomhoften miał dwóch synów, ale obaj podobno złą drogą poszli.

Brinker nic nie odpowiedział. Opowiadanie zmęczyło go widocznie, przymknął oczy.

— Śpij, Rafale — szepnęła żona. — Zmęczyłeś się. A, to ty, Haniu! Wróciłaś nareszcie...

Rafał Brinker usnął, a podczas jego snu wróżka Andzia wskazała przypadkowe miejsce, gdzie skarb się znajdował.

XVIII.

Odkrycie.

Nazajutrz opowiedziano Brinkerowi historię odnalezionych pieniędzy. Taka wiadomość zaszkodzić mu nie mogła. Potem matka z synem poszli do miasta, aby dom zaopatrzyć w żywność, było to dla nich przyjemnością, o której już od lat wielu zapomnieli. Hania zaś miała uporządkować mieszkanie.

Janek spokojnie, ale patrzył w przyszłość, ale pani Brinkerowa różne miała wątpliwości. Tyle rzeczy możnaby zakupić teraz; przecież należało kierować się rozsądkiem i nie pozwalać sobie na zbytki. Janek zdumiony był wielkością kosza do małych paczek, które matka weń kładła.

— Co tak patrzysz na mnie? — pytała. — Ty chciałbyś połowę Amsterdamu do domu przynieść.

A potem żartowała przed mężem z rozrzutności syna.

— Miał ochotę przynieść do domu garniec kawy i kilka pudów cukru. Powstrzymałam go; jeżeli nie będziemy szanowali pieniędzy, to znowu zginąć nam mogą!

Brinker mógł już o własnych siłach chodzić po izbie. Siadywał przy ogniu, na wysokiem, poręczowym krześle.

— Żono — odezwał się raz — pamiętasz tę pozytywkę wystawioną w jednym sklepie w Utrechie. Pamiętasz, jak ci się jej muzyka podobała.

— Doskonale pamiętam — zawołała, a po chwili dodała niespokojnie: ależ Rafale, mam nadzieję, że nie będziesz wyrzucał pieniędzy na kupno jakiejś pozytywki.

— Ani mi to w głowie! Mam ja w domu lepszą muzykę.

Matka i syn spojrzeli na siebie zdziwieni. Czyżby biedny ojciec znowu rozum tracił?

— Tak, tak; mam śliczną muzykę — powtórzył. Moja muzyka chodzi sobie po izbie i wszędzie jej pełno, jak gdyby już ptaki wiosenne piosneczki śpiewały.

— Święci pańscy! Co ty mówisz Rafale?

— Mówię prawdę. Zapytajcie Hani, czy nie jest moją żywą pozytywką. Kiedy wysłicie z domu śpiewaliśmy sobie ciągle.

Śmiech ogólny rozległ się w chacie, śmiech pełen radości i szczęścia, tak dawno tu nie słyszany.

Zasiedli teraz do obiadu i spożyli go, śmiejąc się i rozmawiając.

Po obiedzie Janek naciągał już paltot, aby udać się do domu van Holpów, gdzie robota na niego czekała, kiedy ktoś do drzwi zastukał i otworzył je prawie jednocześnie:

— Ach! doktor Bockman! — zawołała Brinkerowa. Witamy pana, całem sercem witamy!

— Hm! widzę, że już tu potrzebny nie jestem. Chory wyzdrowieje bez mojej pomocy.

— Pan jest naszym zbawcą, panie doktorze — mówiła gospodyni domu. A wczoraj jeszcze drugie szczęście nas spotkało, odnaleźliśmy nasze pieniądze, całe tysiąc florenów.

— Tak, panie doktorze — dodał Rafał — i teraz możemy już złożyć panu tyle pieniędzy, ile ich się od nas należy.

— Nie mówmy o pieniądzach — oburzył się doktor; — schowajcie je dla siebie, więcej one wam potrzebne aniżeli mnie. Podziękowanie waszego syna większą ma dla mnie cenę od pieniędzy, których mam dosyć.

— A może i pan ma syna? — spytała nieśmiało Brinkerowa.

Dobry humor doktora zniknął w jednej chwili. Ale Rafał tego nie zauważył i zaczął znowu:

— A my chcieliśmy jeszcze prosić pana doktora o radę. Pokaż-no, żono, zegarek panu doktorowi. Przed dziesięciu laty dał mi go jakiś chłopiec, który uciekał z kraju.

Kiedy Brinkerowa wręczyła zegarek doktorowi, ten zadrżał i zawołał zmienionym głosem:

— Skąd macie ten zegarek? skąd? skąd? Mój syn, mój Laurenty!

Zdumienie opanowało rodzinę. Rafał opowiedział całą sprawę doktorowi, po którego twarzy duże łzy spływać zaczęły.

— Rafale Brinker, zmiłuj się — rzekł wreszcie — zmiłuj się nade mną i przypomnij sobie adres wskazany przez mego syna.

Ale Rafał potrząsnął tylko smutnie głową.

— Niestety! — wyjąkał, ściskając oburącz głowę — nic mi więcej w pamięci nie zostało. Nie mogę sobie przypomnieć... a Bóg mi świadkiem, jak pragnąłbym wrócić panu syna.

— Panie doktorze — zawołał Janek, zapominając o wszelkich względach — nie martw się, ja ci syna odnajdę. On gdzieś być musi — ziemia wielka, ale znajdę go, znajdę.

Hania słysząc te słowa, pobladła. Przyznawała słuszność bratu, ale jednocześnie nie mogła pojąć, jak żyć będą bez Janka.

(d. c. n.)

ARYTMOGRYF.

ul. Mały Macho dla Zosi.

W poniżej podanym szeregu należy w taki sposób cyfry zastąpić literami, aby środkowe głoski otrzymanych wyrazów złożyły nazwisko znakomitego poety naszego:

8, 4, 8.
4, 8, 9, 1, 7.
6, 1, 4.
13, 1, 10, 11, 4.
5, 3, 10.
4, 8, 7, 1, 9.
8, 10, 1.
2, 11, 4, 1, 10.
7, 3, 5,

Znaczenie wyrazów: 1) Organ wzroku. 2) Święta księga Mahometan. 3) Roślina ogrodowa. 4) Znany pamiętnikarz polski. 5) Zwierzę znane z przebiegłości. 6) Duża gałąź (inaczej). 7) Owad. 8) Ptak. 9) Rzeka afrykańska.

S Z A R A D A.

ul. Stefan N.

Nazwa rzeki *pierwsza, pierwsza*,
Druga wiosną w rzekach płynie,
Cała (mówiąc tak do wiersza)
Miasto w dalekiej krainie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 25-go,

Zagadki rebusowej: Literat.

Arytmogryfu: 1) Jednakże. 2) Ani. 3) Krab. 4) Kakadu. 5) Urok. 6) Bryg. 7) Arno. 8) Bób. 9) Orszak. 10) Gaza. 11) Unikat.

Początkowe i końcowe litery tych wyrazów składają przysłowie:

Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna — miesięcznie w Warszawie kop. 35.

Gena ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Życie, wiersz przez T. Prażmowską (z ryc.) — Psie pole, powieść Włodzimierza Trampeczyńskiego. — Nasze rośliny uprawne, przez B. Dyakowskiego (z ryc.) — Jak wygląda wojna (z ryc.) — Z wycieczek wakacyjnych po kraju (z ryc.) — Srebrne łyżwy, przekład A. M. — Łamigłówni i rozwiązania. — **Dodatek:** Dary, przekł. M. G. (z ryc.) — Niegrzeczne dzieci, wiersz przez Zofię Zacharkiewicz. — Cenzury. — Moje opowiadania, przez Zofię Bukowiecką. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Bezpłatny dodatek książkowy: Sewerka, powieść przez W. Marréné-Morzkowską.

D A R Y.

przełożyła z angielskiego

M. G.

(Dalszy ciąg).

Czatuje na nas ten psamed, żeby wystrychnąć na dudków, jak zwykle — zrobił później uwagę Cyryl.

Naturalnie, Robert został uszczęśliwiony spełnieniem życzenia, i zrobił się większy od piekarczyka — o! dużo, dużo większy! Większy od ogromnego policyanta, który stawał dawniej na jednej z najruchliwszych ulic Londynu, i pomagał paniom do przejścia na drugą stronę — a był to jeden z najwyższych ludzi, jakich widziałem kiedykolwiek, i jeden z najlepszych. Żadne z dzieci nie miało przy sobie centymetrowej miary, więc nie mogły zmierzyć Roberta, ale wiedźcie o tem, że był wyższy niż wasz ojciec, gdyby stanął na głowie waszej matki, czego pewien jestem — nie miałby serca uczynić. Miał on co najmniej 10 może i 15 stóp wysokości, a barczysty był odpowiednio do wzrostu. Jego ubranko z materiału w kratki urosło na szczęście razem z nim, i stał teraz w całej okazałości, ze spuszczoną jedną olbrzymią pończochą i potężnym sińcem na niesłychanej wielkości nodze! Ogromne łzy gniewu staczały się po wielkich, zaczerwienionych policzkach olbrzyma.. miał minę tak zadziwioną, a był tak wielki, że patrząc na jego wykładany kołnierz i ubranie dziecięce, reszta rodzeństwa nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

— *Samjad* urządził nas znowu po swojemu! — wybąkał wśród śmiechu Cyryl.

— Nie *nas* tylko *mnie!* — poprawił Robert. — Gdybyście mieli dobre serce, postaralibyście się urosnąć tak samo jak ja... Nie macie pojęcia, jakie to głupie uczucie — dodał nieuważnie.

— To też nie mamy chęci próbowania takiego uczucia; wystarcza nam to, że widzimy, jak to głupio *wygląda* — zaczął Cyryl, ale przerwała mu Antea:

— Ach! dajże pokój! Nie rozumiem, co się wam dziś stało, chłopcy! Zaczekaj, Wiewiórko! Nie sprzeczasz się: przecież to bardzo nieprzyjemnie dla Boba być takim dużym między nami. Poprosimy *samjada* o drugie życzenie, a jeżeli zgodzi się na to, uważam, że najlepiej będzie prosić o taki sam wzrost dla nas wszystkich.

Zgodzili się na to, choć niebardzo chętnie; ale gdy znaleźli piaskoludka, tenże odmówił.

— Ani myślę! — odpowiedział gniewnie, pocie-

rając twarz kosmatą nogą. — Chłopiec jest szorstki, złośnik, i taka nauczka dobrze mu zrobi. Poco mnie wykopał z piasku swojemi obrzydliwemi, mokremi rękami? To zupełny dzikus! Chłopiec z kamiennej epoki miałby więcej delikatności od niego.

Rzeczywiście, ręce Roberta mokre były — od łez.

— Idźcie precz i nie przeszkadzajcie mi wysuszyć się w spokoju — mówił dalej piaskoludek. — Nie mogę zrozumieć, dla czego nie żądacie nigdy nic rozsądnego, czegoś, co by można było zjeść lub wypić? Czemu nie prosicie o dobre ułożenie, o miły charakter... Wynoście się stąd, mówię wam!

Pomrukiwał groźnie, poruszając wąsami i odwrócił się tyłem, pokazując im zakurzony w piasku ciemny, kosmaty grzbiet. Ci nawet co mieli najwięcej nadziei, zrozumieli, że dalsza rozmowa do niczego nie doprowadzi.

Zwrócili się więc do olbrzymiego Roberta.

— I co my teraz zrobimy? — wymówili wszyscy jednozgodnie.

— Na początek — odpowiedział Bob ponuro — pójdę się załatwić z chłopcem od piekarza. Złapię go na gościńcu...

— Nie bij chłopca mniejszego od siebie, bracie! — upomniął Cyryl.

— Czy ja wyglądam na to, żebym go miał bić? — zapytał wzgardliwie Robert. — Powinienbym go prę-



Teraz dam ci nauczkę za to, żeś kopał chłopca cztery razy mniejszego i słabszego od siebie.

dziej zabić. Ale nie zrobię tego, tylko dam mu coś na pamiątkę. Zaczekajcie trochę, aż wciągnę pończochę.

Wciągnął pończochę wielką, jak powłoczka na wałek od kanapy i ruszył w drogę. Kroki stawiał długie na pięć do sześciu stóp, więc z łatwością doszedł do stóp wzgórza, gdy piekarczyk zaledwie zaczął schodzić ze szczytu, wywijając pustym koszykiem, w oczekiwaniu na wózek piekarza, który zostawił chleb w domach położonych wzdłuż drogi.

Robert przysiadł za stogiem siana w rogu folwarcznego podwórza, a gdy posłyszał gwizdanie zbliżającego się chłopaka, wyskoczył z ukrycia i pochwycił go za kołnierz.

— A teraz — przemówił głosem cztery razy grubszym od zwyczajnego głosu, tak jak i wzrost miał czterokrotnie większy od zwykłego — teraz dam ci nauczki za to, żeś kopał chłopca mniejszego i słabszego od siebie.

Podniósł w górę piekarczyka i usadowił go na samym wierzchołku stogu, na wysokości sześciu stóp od ziemi, a sam usiadł na dachu obory i powiedział mu, co o nim myśli. Nie sądził, żeby chłopak usłyszał i rozumiał wszystko — bo był prawie skamieniały z przerażenia. Kiedy już Robert wypowiedział, co mu tylko na myśl przyszło, potrząsnął piekarczykiem i rzekł na zakończenie:

— A teraz możesz zejść na dół jeżeli będziesz miał ochotę!

I odszedł.

(d. c. n.)

Niezgodne dzieci.

— Janku, daj mi twoją piłkę,
Będę się nią bawić rada —
Jaś potrafił Bogumiłkę
— Ani myślę! — odpowiada.

— Będziemy się bawić w konie, —
Mówi znowu Jaś po chwili,
Lecz dziewczynka gniewem płonie:
— Nie będziemy się bawili! —

Ogród słońca blask zalewa,
Dzień wiosenny szybko leci,
W kącie jedno, drugie ziewa,
Nudzą się niezgodne dzieci.

Zofia Zacharkiewicz.

CENZURY.

Józio ma tylko „trójki”, a ja jestem „celującym”, wujaszku!

— To ślicznie, że się dobrze uczysz, mój Stasiu, dał ci też Pan Bóg zdolności.

W tej chwili weszła cioteczna siostrzyczka Helenka.

— Helenko, wiesz, że ja mam same piątki, a Józio tylko trójki, choć o rok starszy ode mnie!

— Winszuję ci, Stasiu! A gdzie jest Józio? Mamusia mnie przysłała, aby was dzisiaj do nas na podwieczorek zaprosić. Będą dla nas wiśnie i poziomki ze śmietaną a dla Józia czekolada, kiedy jemu przy wodach owoców nie wolno.

— Co tam, Józio! ja mam same piątki, a nikt ze mną takich historii nie robi — niech Józio swoją cenzurę pokaże, to dopiero zobaczycie, jaka różnica z moją!

Ale Helenka już nie słuchała małego samochwalca, bo odbiegła szukać Józia w dalszych pokojach. Wtedy Staś zajrzał do kuchni, a zastawszy tam Marcinową, zajętą smażeniem naleśników z porzeczkami, zlekka jej zaproponował.

— Marcinowa by pewno nie dostała piątek, gdyby chodziła do szkoły, bo to bardzo trudno — ot, Józio zaraz ma tylko trójki.

— Ej, nie zawracaj mi panicz głowy! — burknęła oburzona kucharka zła, że przez niego właśnie upuściła naleśnik — niech się panicz jeszcze idzie Brysiowi pochwalić i zapytać go, czyby dostał piątkę.

— Wielka sztuka, że paniczowi Pan Bóg dał głowę do nauki, a państwo dają książki i posyłają do szkoły — niech by panicz bez tego potrafił, to co innego! Ot, Antek, mój siostrzeniec, co kątem u stróża mieszka i uczy się tylko z pożyczanych książek, a także ma piątki. To dziś nie żadne dziwo: każdy się uczy jak może. A że się panicz nad Józia przechwala, to ze złego serca, bo Józio też robił, co mógł i lepszy jest i grzeczniejszy niż panicz, a nie jego wina, że chorował!

Staś tak był zawstydzony tym potokiem wymowy, której słuszość uznać musiał, że nawet nie śmiał przerwać, aż Marcinowa udobruchana tem, że słuchając zmieszany i zaczerwieniony, dała mu w rękę ślicznego, świeżo zdjętego z patelni naleśnika, i pogroźką przypasania ściěrki, wyprawiła z kuchni do pokojów.

Tu, w najdalszym kącie mieszkania, między szafą a łóżko wcisnął się Józio i trąc oczy kułakami słuchał łagodnych perswazyi mamy, która namawiała go, aby wyszedł przywitać się z wujaszkiem i Helenką.

— Nie mogę, Mamusiu! nie mogę! nie chcę widzieć nikogo! nie pokażę nikomu cenzury! Staś ma daleko lepsze! niech mię nikt nie pyta! Nie pójdę do cioci na podwieczorek!

— Niestety, widzę, że obu synków mam bardzo próżnych — powiedziała mama — Staś biega po całym domu i przechwala się przed każdym, kto chce i nie chce słuchać — ty znowu, Józio, desperujesz i martwisz się ze szkodą zdrowia, że brat cię w stopniach prześcignął, choć ani my, rodzice, ani nauczyciele nic ci do zarzucenia nie mają. Z zachowaniem i pilnością masz na świadectwie stopień wzorowy, a to najważniejsze! Wszyscy wiemy, że długo chorowałeś w tym roku, a zresztą i wrodzone zdolności masz mniejsze od Stasia, u którego znowu nie są one żadną zasługą — tak jak żadnej waszej winy ani zasługi w tem nie ma, że jeden ma ciemne a drugi jasne.

sne włosy! Zdolności Bóg rozdaje: można tylko prosić Go o nie — każde dziecko, gdy pracuje podług sił swoich i rodzice są z niego zadowoleni, już czyni zupełnie zadość swoim obowiązkom, a to pocucie powinno mu wystarczyć, choćby mu się nie udało odznaczyć przed innymi.

Józio rozważał jeszcze słowa mamy, gdy w tej chwili zbliżył się Staś, trochę nieśmiało, bo zrozumiał, że swoim pyszałkowstwem mógł zrobić przykrość braciszкови — teraz uściskał go i rzekł serdecznie:

— Nic sobie z tego nie rób Józiu, że masz gorszą cenzurę, bo żeby ci nie było przykro, to i ja mojej u cioci nie pokażę, więc nikt nie będzie porównywał. A na przyszły rok będziemy razem odrabiać wszystkie zadania, ty będziesz zdrów i z pewnością otrzymamy świadectwa jednakowe.

Chłopcy się uściskali i w najlepszej zgodzie poszli do stołu — a ja wam zaręczam, że obaj wyrosną na prawych, rozumnych i pożytecznych ludzi.

Zofia Mrozowicka.

Zofia Bukowiecka.

MOJE OPOWIADANIA.

(Dalszy ciąg).

Mówiłam wam, że nie zrosły się jeszcze plemiona, z których Chrobry ulepił swoje państwo i teraz kiedy umarł wielki wódz a nieprzyjaciół zagroził od granic, powstały kłótnie pomiędzy słowiańskimi rodami, każdy szczep chciał być u siebie panem. Zjawili się po wszystkich prowincjach ludzie, którzy postanowili własne zakładać dzielnice, że zaś wielu osadników przykryło sobie posłuszeństwo względem króla, wielu też narzekało na daniny płacone do spichlerzy monarszych, więc ci szaleńcy wymordowali włodarzy po grodach, rozpędzili urzędników i własnymi rękami rozbili gniazdo z takim mazołem budowane przez Piastów.

— A cóż się stało z Mieczysławem II-im — zapytacie.

Skonał od tyłu zgryzot i utrapień. Umarł po dziewięciu latach panowania, a z jego śmiercią rozproszyła się drużyna wojenna, ostatni obrońcy porządku, ci sami rycerze, którzy z Bolesławem po krańcach ziemi roznosili sławę polskiego oręża. I jeszcze gorsze nastały czasy.

Teraz, kiedy nie było komu strzedz prawa, podnieśli głowę poganie utajeni w puszczech i jeńcy wojenni osadzeni na ziemiach królewskich lub na rycerskich włościach. Paganie burzyli kościoły, zabijali księży, niewolnicy napadali na swoich panów, rabowali dwory, przywłaszczali cudzą własność.

Istny sądny dzień! Zginął w tej zawierusze starszy syn Mieczysława, Bolesław, który o dwa lata tylko przeżył ojca, a po jego śmierci Ryksa uciekła

z Kazimierzem do Niemiec i uwiozła z sobą koronę i Szczerbiec Chrobrego.

Ziemia od gór do morza spłynęła krwią własnych dzieci, krwią wylaną nie w obronie matki, ale w bratobójczym boju, ludzie uciekali do lasów, kryli się przed sobą w tych samych jaskiniach, gdzie wprzód szukali ochrony od wilków i niedźwiedzi.

Zdziczał naród, wypędzono z kraju wiarę Chrystusową, wiarę co zakwitła była tak pięknie na naszej ziemi, za którą wojował Chrobry, za którą dał życie biskup męczennik Wojciech, której w pocie czoła nauczali apostołowie. Nikt nie orał pola, nie zajmował się rzemiosłem, nie pracował nad postępem świata, bo nikt nie czuł się bezpieczny w własnym domu. Któż w tym potopie miał wymierzać sprawiedliwość, lub strzedz krzywdy?

Na Mazowszu działo się względnie najlepiej. Zaprowadził tam jaki taki ład Masław, który był podczaszem na dworze króla Mieczysława. Zachciało się dumnemu Mazurowi panowania, zamiast wziąć w opiekę królewskiego syna, zebrał gromadę sojuszników, zdobył gród Płocki, obsadził go swoją drużyną i ogłosił się nieprawnie księciem Mazowieckim.

Pod opiekę Masława uciekali osadnicy z całego kraju, ci sami ludzie, co narzekali wprzód na posłuszeństwo i na daniny płacone Piastom, błagali teraz warchołę i rabusia o ratunek, bo poznali, że bezrząd jest najstraszniejszą niewolą. A rabuś Masław był poganinem, łączył się też z pogańskimi plemionami Pomorzan i Jadźwingów, mieszkających na północy i razem burzyli kościoły, ciosali posągi bożków. Niszczało dzieło Dąbrowki.

Czezi tymczasem gospodarowali w najbogatszych prowincjach piastowego dziedzictwa. Skorzystali z ogólnego zaburzenia, złupili Wrocław, Kraków, Gniezno, chcieli nawet zabrać z tego miasta ciało świętego Wojciecha, ale im się to nie udało i relikwia narodowa została na straży starego grodu praojca Lecha.

Zaleli najeźdźcy kraj, jak wody rzek zalewają brzegi na wiosnę. Zdawało się, że zginie w potopie klęsk, uratowała go miłość, jaką lepsi między Polanami zachowali dla monarszego rodu Piastów.

Bywa tak nieraz, że kiedy wszystko zdaje się stracone, kiedy nad całą ziemią zapanuje ciemność, łaska Boża wskrzesza nadzieję ratunku w sercach ludzi cnotliwych i ci ludzie zrywają się do czynu.

(d. c. n.)

ZADANIE KONIKOWE.

uł. Swietlana dla Marzącej Litwinki.

mie	na	bie	*
Kto	chle	niem	nie
ty	ka	*	cie
bem	na	go	*

FIGIEL.

podała Walerka Rz.

W jakim kierunku latają ptaki?

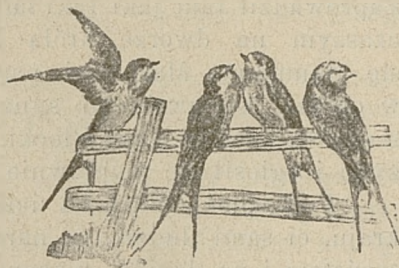
ROZWIĄZANIA DO N-ru 25-go.

Lamigłówni samogłoskowej :

Stojąc w bezpiecznym porcie i jeszcze na sznurze
 Przywiązane raz czółno bardzo mądre było :
 Widząc okręt na morzu miotany przez burzę,
 Ach ! jakże nie umie nie pływać mówiło.
 Wtem wiatr zawył, sznur zerwał i na szumne wały
 Wyniósł zgłupiałe czółno i rozbił o skały.

Zagadki : Kłódka.

Skrzynka do listów.



Wciąż jeszcze wydobywam z teki wieści o egzaminach, promocjach, nagrodach... Muszę pójść za twoją radą, **Córo Mazurów**, i zawołać „*vivant* pisklęta Jaskółki!” skoro tak pomyslnie znoszą mi wiadomości i sprawiają tyle wesela, tak, tak! *vivant*, moje kochane pisklęta! Witam cię, Córo, jako poważną 6-o klasistkę! W tym roku będę miała kilkanaście korespondentek z tej wysokiej klasy, a wierzcie, że ja równie kocham poważne i mądre moje staruszki, jak najmłodsze pisklęta, co to jeszcze do wstępnej sięgają. Powinszuję ode mnie Córo Mazurów — Polnej Różyczce; Irze i Heniowi, że tak dobrze przeszli do wyższych klas, a ucałuję Wróbelka, Skowronka, Zosieńkę, Tadzia i Tolusia.

Widzę, **Kurpianko**, że po egzaminach używałaś Warszawy, poznałaś wiele ciekawych gmachów i zbiorów, doznałaś przyjemnych rozrywek. Żałuję, żeś nie mogła zwiedzić Instytutu higieny dziecięcej na Litewskiej. Zobaczyłabyś tam, jak panie i panny dozoruują kolejno i dopomagają siostrze miłosierdzia myć, kąpać, czesać i t. p. działość ubogą, dziesiątkami przychodzącą z miasta. Bardzo trafnie scharakteryzowałaś różnicę dwóch pałaców, które zwiedziłaś, ale uważaj także, dziewczeczko, i nie pisz *dobrze* przez ż, dopóki przynajmniej Akademia Umiejętności w Krakowie nie orzeknie, iż *rz* się znosi i będzie wszędzie zastąpione przez *z*.

Od **Przadki złotych nlei** zbiegły mi się dwa listy. Ten pierwszy jeszcze z Łodzi, błąd — jak była pewnie twoja twarzyczka po pracy egzaminowej, mościa piąto-klasistko, ale drugi za to z Pohulanki — już różowy, zastosowany do obecnej twojej cery, zaróżowionej przez konne spacerki i w ogóle przez pobyt na wsi ukochanej. Donieś mi o swej działalności nauczycielskiej letniej i nie zniechęcaj się pierwszymi trudnościami, a kochanego małego Zdzichna ucałuję ode mnie i powiedz, że na przyszły rok spodziewam się od niego listu.

„Droga moja Jaskółko, z radością donoszę ci, że przeszedłaś do 4-ej klasy z listem pochwalnym, a braciszek mój, Józio, zdał do wstępnej na same czwórki i piątki”. Tak pisze **Niebieska Perełka**, a **Dobrzelinianka** (dawną Syrena) i **Dalia** w dopisku takie same o sobie podają wiadomości. Choć jeszcze dwuletni okres czysu dzieli was od godności „sta-

ruszek”, lecz już przybyło wam wiele powagi; więcej teraz od waszych główek i serduszek wymagać zaczę. Powiedz Józio, Perełko, że odpowiedzi na kwestyonaryusz może podpisać pseudonimem, a marki swoje najlepiej prześlij do redakcji przez okazy, o którą do Warszawy nie musi być trudno.

Nie wyfrunęłam jeszcze, kochana **Dobrusienko**, ale już wyfruwam; twój list doszedł mnie na wyjeździe i z przyjemnością dowiedziałam się o twojej promocji i nagrodzie. Żał mi twej przyjaciółki, co w tak młodym wieku umarła, jak pierwiosnek, ścięty mrozem, a więcej jeszcze jej rodziców, czy mają więcej dzieci?

Masz rację, drogi mój **Bławatku z Rokitu**, nie mogę ci dać lepszej rady. Pozbądź się skrytości i otwórz swą duszę tej najbliższej opiekunce, która choć nie jest rodzoną mamusią, ale robi wszystko, co jest w jej mocy, by ją zastąpić, byleby także u ciebie wyczuła serdeczność, ufność i dobrą wolę. Winszuję promocji Czesiowi, a Czarny Kruczek, niech pamięta, że jest pisklęciem Jaskółki i przygotowuje się dobrze do egzaminu powakacyjnego.

Pochwalam twe zamiary na przyszłość, **Wrótko**. Zawód nauczycielski jest niezmiernie podniosły i ważny; czujesz do niego powołanie, masz cierpliwość i widzę, że lubisz sobie zdawać sprawę z charakterów innych osób. Zdaje mi się, iż dość trafnie określiłaś usposobienia niektórych moich korespondentek. Te wszystkie cechy ułatwią ci z czasem umiejętne spełnianie twego powołania.

Małą Jaskółkę uściskam za jej literki i schowam ten pierwszy list kochanego maleństwa na pamiątkę, może kiedy jako „staruszka”, ze wzruszeniem otrzyma go ode mnie. **Tęczy** za pozdrowienie pozdrowienia łączę, i pozwolę sobie zwrócić uwagę, że *młodszy*, pisze się przez *d*.

Marylka i Halszka Dadzibożki, choć raz śniły o mnie, ale dawno nie pisały. Wolę jednak ten drugi objaw pamięci waszej. Cieszę się bardzo, że wymiana kart i listów między korespondentami moimi wytwarza pewien ruch umysłowy i zadzierzga stosunek łączności duchowej między nieznanymi sobie czytelniczkami „Wieczorów”, które bez względu na to, gdzie mieszkają — posiadają wspólność ideałów i jednakie poczucie obowiązków względem Boga i społeczeństwa. „Sokoły”, kochana Halszko, są to powstałe w Czechach stowarzyszenia ludzi rozmaitych zawodów, uprawiających w wolnym czasie, ale stale i systematycznie, gimnastykę i wspólne ćwiczenia, aby wyrobić w sobie i zachować do późnego wieku siłę, sprawność i zręczność fizyczną, a zarazem umiejętność wykonywania jednocześnie zgodnych ruchów większymi masami. Od poetycznej nazwy „Sokołów” — zjazdu ich nazywają „złotami”. Podobne stowarzyszenia istnieją i w innych prowincjach Austrii. Z atlasów dla początkujących „poradnik” poleca atlas B. Kozenna (cena 3 rb.) i atlas P. O. Schneidera — geograficzno przyrodniczy, 1900 r. tablice 18, cena 2 rb. 25 kop.

Jeszcze raz, drogie moje pisklęta, odpowiem wam przed wylotem z Warszawy na wieść, na wszystkie listy, które przyjdą do mnie przed 3 lipca, a mam jeszcze kilka nieodpisanych. Nie żegnam was zatem jeszcze na dłużej

wasza Jaskółka.

Dobre rozwiązania i zadania własnego układu nadestali: Dolly Ven, Biały konik (na b. ładnej karcie), Miłośniczka piękna z Zakopanego, Spartańczyk, Józio K., Helenka C., Kruszynka.

Lili Komorowskiej. Żądane książki wysłano. Pomarańcza zawsze i wszędzie! nigdy — ta pomarańcza.

Przypominamy konkursu na wypracowania i roboty ręczne. Odpowiedzi na kwestyonaryusz dla chłopców już zaczynają przychodzić.